TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II.Nr.19 /27/ 151 East 67 Street,New York,N.Y. 7.V. 1942

Niechaj zatryumfuje książka polska.

Byłoby rzeczą zbyteczną, gdybym zechciał tłomaczyć Polakom,czem jest dla nas książka polska. Wie to każdy Polak, mający pełną świadomość naszej historii i zadziwiających zwycięstw pokoleń z potęgą wroga. Rola dziejowa książki, jej tryumfy polityczne i waga moralna wrosła w każdą polską duszę. Książka polska bowiem nie była wytworem kulturalnego zbytku, wyrosłym na podłożu materialnej pomyślności, jak to było przeważnie u innych narodów. Znaczenie jej nabiera przejmującej wymowy osobliwie przez to, że była ostoją i źródłem mocy duchowej w okresie najstraszniejszego, hiobowego sponiewierania politycznego narodu. Mickiewicz był nietylko wieszczem, lecz wodzem polskich pokoleń w ich niezłomnej, nieustraszonej walce o niepodległość. Ale i w poprzednich wiekach książka polska spełniała misję niezmiernie doniosłą. Wyrosła z dostałej i szlachetnej mądrości złotej epoki Jagiellońskiej, niosła jak na skrzydłach ponad burzami następnych wieków to, co w narodzie było najistotniejsze, nieprzemijające i niezniszczalne. To właśnie ten promienny orszak szlachetnych myślicieli i poetów, to właśnie ta przedziwnie czysta muzyka polskiego słowa, snująca się przez wieki, jest treścią i tajemnicą polskości. W sprzeniewierzeniu się tym skarbom jest zguba, w dochowaniu im wierności siła i przyszłość.

Zrozumieli to doskonale Niemcy. Nietylko więc niszczą naród fizycznie, lecz z szałem zagorzałej nienawiści rzucili się na książkę polską. Spalili wszystkie biblioteki, skonfiskowali z domów prywatnych książki i rzucili je na płonące stosy, mordują pisarzy i uczonych, zamknęli szkoły i uniwersytety. I dziś właściwie nie istnieje w kraju polska książka.

Byłoby przeto błędem nie do darowania, gdybyśmy nie przyjęli tego wyzwania. Dziś wszyscy Polacy na całym świecie walczą nietylko o wyzwolenie fizyczne, lecz również o ocalenie z zawieruchy naszej kultury. To, co wróg nasz chce zetrzeć z powierzchni ziemi, tu na emigracji powinno być wskrzeszone do nowego życia. Musimy zdobyć się na zorganizowany, wytrwały wysiłek, by zaczęły wychodzić najcelniejsze dzieła naszej

literatury. Jest bowiem rzeczą niewypowiedzianie smutną, że Polak nie może nabyć dzieł Kochanowskiego, Skargi, Mickiewicza, Słowackiego, Prusa, Sienkiewicza czy Żeromskiego. Nie może ich kupić nigdzie, na całym świecie. Wprawdzie w Anglii dokonano przedruków niektórych dzieł, ale usiłowania te ze zrozumiałych względów są skrępowane. Brak papieru i pracowników drukarskich, ograniczona ilość nabywców i trudność przewozu książek do Ameryki - wszystko to wpływa niepomyślnie na te chlubne zamierzenia. Rolę wskrzesiciela książki polskiej może przyjąć tylko wielomilionowa emigracja polska w Stanach Zjednoczonych. Ma bowiem do dyspozycji wszystkie sprzyjające warunki: możliwości techniczne, chłonność nabywczą, środki pieniężne. Może produkować nietylko dla swoich potrzeb, lecz tworzyć zasoby, by po wojnie odrazu zaopatrzyć w książkę polską zgłodniałe strawy duchowej i strudzone społeczeństwo w kraju.

Doboru tych druków powinna dokonać specjalna komisja wydawnicza, złożona ze znawców literatury polskiej. Nasamprzód, dla zaspokojenia pierwszego głodu i udostępnienia dzieł szerokim rzeszom czytelników, wypadałoby tworzyć antologie i wybory dzieł. Typ graficzny książki powinien być poręczny, formatu kieszonkowego. Drukowana na cienkim welinowym papierze, łączyłaby w sobie pojemność z lekkością wagi. Polak bowiem nosi dziś chętnie książkę ze sobą, w dodatku łatwiej byłoby ją wysyłać do naszych żołnierzy, rozproszonych po świecie i do Anglii, gdzie uchodźcy powitaliby ją z radością.

Przystępując do tak ogromnego zadania, należałoby zgóry przemyśleć metody organizacyjne, które zapewniłyby odbiór książki przez tysiączne rzesze nabywców. W ten bowiem tylko sposób wydawnictwo spełniłoby rzetelnie swoje zadanie i zyskało zdrowe podstawy finansowe. Mam wrażenie, że do zrealizowania tego projektu jest powołany przedewszystkiem Związek Polek w Ameryce, który tyle serdecznego zrozumienia okazał dla doli naszej kultury. Kobieta polska w Stanach Zjednoczonych, zorganizowana w kołach tego związku przyjęłaby chętnie rolę pozyskiwania subskrybentów. Za wzór mogą posłużyć amerykańskie towarzystwa miłośników książki, jak np. "Book-of-the-monthly-Club", skupiające setki tysięcy nabywców książek. Przy dobrej woli i sprężystości rychło powstałaby "Liga polskiej książki".

Zenon Kosidowski

Guliwer.

Kazałaś ponad domy, ponad dachy róść
I nad miastami jednym przechodzić nam krokiem;
Miasto wbija się w stopę i kłuje jak gwóźdź,
Skorpion płaski, zdeptany natchnieniem wysokiem.

I wyrosłem i chodzę. Ponad miazgą miast
Pochylam się i patrzę na świat lilipuci.
Ciasno mi jest na ziemi i pusto śród gwiazd,
Co miało mnie wywyższać, to tylko mnie smuci.

Nocą we śnie wystarczy daleki twój szum,
Bym dźwigał się i glob ten barkami podważał.
Budzę się powiązany, wyśmiany przez tłum,
Z wielkoluda na górach nieporadny karzeł.

A w gwiazdach? Cóż pomogą zaklęcia mych słów
Nad wieczną koleiną niezmiennego szlaku?
Krzyczę w ucho księżyca: stada ślepych sów
Śpią nieruchomo w szprychach na kole zodjaku.

W bezrozumny, szaleńczy wtrąciłaś nas byt:
Utrudzać się daremnie i wierzyć w swą dumę,
Kłaść się pod kurhanami i w szczelinach płyt
Szumieć grobem i pustą powtarzać zadumę.

Została tylko moc ta: odrzucić jak wiór
Wszystko com zdobył, wydarł najciemniejszej z bogiń.
Muzo! Skazaniec słyszy jak wzywa go chór:
Do końca bezrozumnie kraść na górach ogień.

Kazimierz Wierzyński

N a A k r o m ę, n a G a z a l ę!...

Kiedy na przednich pozycjach, w kutych w skale płytkich okopach, pod obstrzałem straszliwych pozycji włoskich na Medaurze trwali żołnierze naszej kawalerii, pełniący służbę piechoty - ci w samym Tobruku konsystujący również nie mieli aksamitnego życia.

Raz jedyny mieli słodką wodę w prawdziwem tego słowa znaczeniu - dostali zrobioną na niej herbatę od Australijczyków w pierwszy dzień przybycia do Tobruku. Australijczycy mieli ją zebraną z deszczu i przechowywali na wielką okazję. Potem pili już tylko coś słonego i wapiennego, co tem tylko było podobne do wody, że ciekło. Wody deszczowej więcej nie było. Cysterny porozbijano.

Nad miastem kłębiły się istne wiry samolotów, z których wyrywały się w dół pikowce. Główny wir był nad portem.

Żołnierz t.zw.transportówki, t.zn.polskiej kolumny samochodowej, którego Australijczyk obwoził po mieście, aby wiedział skąd ma wozić pieczywo, a skąd benzynę - martwił się bardzo, że oto tak walą w port.

Australijczyk, chłopak z jakiegoś rancho baraniego, mający sześć stóp z czubkiem, uśmiechnął się dosyć szczerbatą gębą.

-Nic się nic bój, boy -palnął w ramię polskiego kolegę - Jedź ze mną to się przyjrzysz.

Jadą nad port. Właśnie nad nim aż kipi. Bomby lecą jak jabłka z jakiejś olbrzymiej niebieskiej jabłoni, którą trzęsie nieznany tytan. Rozdymając się w powietrzu pięknie planują miny na spadochronach. W porcie stłoczone statek przy statku - dymią bezradnie z kominów, jakby wysyłały ku temu niemiłosiernemu niebu błaganie.

-Te -wsadza Polakowi Australijczyk kuksańca w bok - wiesz co to za statki? To stare włoskie wraki, podziurawione już od bomb na sito. Tylko dlatego tonąć nie mogą, że jest całkiem płytko.

-Przecie dymią?
-Bo im nasi wsadzili w komin po wiedrze ropy i zapalili.

. . .

Kiedy zajmowaliśmy Tobruk, rozbite miasto, zajęliśmy je tak szybko, że na placu na straganach pozostały ryby, a po sklepach towary. Lejów też widać nie było - dbał o to h a m s i n, piaszczysty wiatr pustyni, który chodził po ulicach jak kolumna saperska i zasypywał leje.

W takie "hamsiny" nie było mowy o gotowaniu strawy, bo w niej skrzypiał piasek. Z baraku jednego do drugiego odległego o sto metrów można było iść trzy godziny i nie trafić.

Bywały naloty po dwieście samolotów naraz. Od czasu do czasu trafiały w jakiś skład amunicji i wtedy był huk, eksplozje. Uwzięły się na transportówkę: zawszeć to zmasowane tyle maszyn. Żołnierze poczęli wierzyć w cuda: dosyć było wyjść z namiotu, aby weń bomba trzasła, ale właśnie wtedy, kiedy namiot pusty. Pęd powietrza z bomb wyrzucał ludzi z łóżek, czasem odwrotnie, namiot się zawalał, a nienaruszony żołnierz pozostawał w łóżku, innym razem z namiotu wyrzuciło nieuszkodzonego żołnierza. Znałem szofera wozu ciężarowego, który nagle stwierdził, że siedzi na brzegu rowu, mając wyobrażenie, że dalej kieruje i ogląda tył własnego wozu, z którego go wyniosło, a ówże wóz sam pomyka dalej.

. . .

Piechota brygady przyjeżdżała do Tobruku, tak jak i kawaleria - torpedowcami. Na najdalszym wysuniętym w morze siedziała druga kompania. Krępy kapitan, co kampanię w Polsce przebył jako dowódca kolarzy, potem wyrwał z niewoli niemieckiej przez Węgry, przebił się z zaczątkami brygady z Syrii po upadku Francji, siedzi na dziobie torpedowca "zakorkowany" /t.zn.w pasie korkowym/ jak się patrzy i gapi się na piękne Morze Śródziemne. Turyści - niech to szlak trafi!...

Nagle z morza lecą samoloty. Jeden z nich zniża się na 50 metrów i o jakie dwieście metrów od statku puszcza torpedę. Torpedowiec wykręca ostro pod kątem prostym i torpeda minęła. Wtedy nadleciały bronić Angliki; zakotłowało się; trzy ubezpieczające Messerszmity zleciały i jeden Anglik. Wyskoczył chłop ze spadochronem w morze, pędzi mu torpedowiec na ratunek, lotnik uplątał się w sznurki spadochronu, marynarz skacze z pokładu z nożem w zębach, by te sznurki poprzecinać; torpedowiec który ostrym pędem na ratunek nadjechał, rzuca linę, lotnik chwyta, ale pęd mimo hamowania jest tak duży, że mu się sznur z ręki wyrywa, woda go chłonie, przemiotło go pod torpedowcem, wyciągają go z drugiej strony

Po tych przygodach - lądują w Tobruku, pluton po plutonie. Orzełki sterczą na samych czubkach furażerek, bo taki fason. Sześćdziesiąt procent kompanii to żołnierze, którzy przyszli z kraju przez zieloną granicę.

-Jakby we Francji mieszkali Polacy - zwierzał mi się pewien Nowozelandczyk - toby i sami wszyscy już byli w Anglii i jeszczeby wieżę Eifla ze sobą przynieśli.

. . .

Wreszcie nadszedł długo oczekiwany dzień. Pierwszy baon, a w tem owa druga kompania z którą wojujemy, patrolująca dotąd jedynie przedpola, otrzymały rozkaz przełamania linii nieprzyjaciela.

Pluton porucznika W. wlókł minę Bellagoryego, okropnej długości rurę. Zasadzili ją między drutami, gruchnęło, aże skały się zatrzęsły - wolna droga!

Ty, nieszczęsny piechociarzu, czołgaj się z rurą, a jakeś przejście zrobił, to masz stać i patrzeć, jak jedzie kawaleria. To w wyrwę wjeżdża pułk kawalerii jako"jednostka wydzielona" plus dyon artylerii plus pluton carrierów, plus pluton saperów plus dwa plutony armatek przeciwpancernych...

Pościg! Wypad!...

Przelatuje przez ten wylot samochód za samochodem. Skorzystajmy z prawa panazagłobowego w "którym woluntariusz siedzi" i uczepmy się któregoś z wozów. Machamy piechociarzom, stojącym po bokach, kawaleria tryumfuje nie wiedząc, że niebawem ta pozostawiona piechota okryje się wieczną chwałą.

Jeszcze z boku krótka strzelanina. I nagle na stanowiskach niezdobytej Medaury, której ogień nękał nas przez tyle miesięcy, wykwita biało-amarantowy sztandar. To trzeci szwadron!

Za to szwadron drugi pierwszy wali przez wyrwę jako przednia straż i grupa uderzeniowa.

Rozwija się w pustyni wachlarz harcowników. Zadanie: dojechać szosą na Dernę do skrzyżowania jej z szosą dookolną, która biegła naokoło Tobruku, zasilając pierścień pozycji włoskich.

Już słychać strzały. Na przedzie gdzieś rozwija się utarczka. Po chwili jedzie kilka samochodów włoskich, pełnych Włochów, prowadzonych przez włoskich szoferów. Na każdym jeden nasz Jasio szczerzy gębę. To żołnierze dywizji "Trento" jadą z paradą do niewoli.

Już stanęli na skrzyżowaniu w punkcie nakazanym. Ledwo im zapachniała wojna - już: zadanie spełnione. Rozglądają się z niepokojem, że im każą wrócić do Tobruku. Ale przez radio przychodzi rozkaz dowódcy pułku: zdobyć i utrzymać Akromę. Akroma jest to punkt z wielkiemi składami, na tej dookolnej szosie.

Radość niebywała! Największe szczęście spotyka młodziutkiego podporuczniczka. Do Tobruku przyjechał podchorążakiem. Za atak na kotę 22 otrzymał szarżę oficerską. Chciało mu się wprzód - to mu za karę kazano ubezpieczać dowództwo. Tam koledzy brali Włochów do niewoli, a on tu dreptał w tyle. Ale teraz - kara skończyła się. Ma iść ze swoim plutonem i z przydzielonym działkiem przeciwpancernem w czole ataku na Akromę. Z przydzielonym działkiem! Hm...dowodzi oddziałem kombinowynym.

Żołnierze plutonu całują się z radości, gramolą się na samochody. Na pierwszym jedzie ów właśnie podporucznik, dowódca plutonu, za nim samochód z działkiem przeciwpancernem, następnie jeszcze dwa wozy.

Do Akromy jest dwie mile. Kryją ją wzgórza. Podjechawszy, widzą serpentynę szosy prowadzącą przez te wzgórza i umocnienia nieprzyjacielskie. Jeśli tam tkwi nieprzyjaciel, to napewno jest wystrzelany. Na prawo, u podnóża zboczy widnieją namioty. Zastępca dowódcy plutonu zbacza swoim wozem, aby zbadać i dostaje seryjkę. Drużyna z następnego wozu wyskakuje i rozwija się w tyralierkę. Ale już koło namiotów powstają figurki ludzkie z podniesionemi rękoma. Dziewięciu jeńców. W tem oficer i żołnierz niemiecki. Niemcy są świetnie wyekwipowani, wiele lepiej od Włochów. Naprędce nasi żołnierze odbierają im ten ekwipunek, zwłaszcza po trzy pyszne pledy i dają Włochom:

-Macie, makarony, żebyście wiedzieli, że już was Niemcy nie będą więcej krzywdzić.

Czarniawe Włochy kiwają z entuzjazmem głowami. Niemcy patrzą ponuro na rogate orzełki; te skrzydła podniesione do lotu wyglądają na czubku furażerki, jak różki.

Nie ma czasu badać składów, które tkwiły przy tych namiotach. Żołnierze ściągają na szosę, cztery samochody plutonu na wariata jadą gęsiego w tę serpentynę. Bóg śmiałym sprzyja! Pozycje są opuszczone. Nadjeżdża dowódca pułku. Każe obsadzić stanowiska i nie iść dalej, bo otrzymał wiadomość, że Niemcy siedzą w Akromie w znacznej sile. Podporucznik się prosi na zwiad. Ma wziąć drużynę - zgłasza się cały pluton na ochotnika. Okrutnie ciekawi.Wybiera samych młodziaków - od siedemnastu do dwudziestu dwóch lat. Jak i sam wódz... Tyle, że im plutonowego zawodowego dodali. Biorą 1 ko.ppc., 1 Rkm i 2 tomigunse.

Siup!...Jadą w górę tą pokrętną serpentyną. Czy im się marzy Somosierra, gdzie na każdym zakręcie stała bateria? Ale istna kawaleryjska

Somosierra przypadnie w udziale tym pozostawionym w wyrwie piechociarzom - jak to zobaczymy.

Wywindowali się wreszcie na płaskowyż - patrzą, a o dwieście metrów stoją"sobie" cztery potwory - ciężkie działa. Zahamowali, aż zgrzytnęły hamulce. Gdyby to byli ich poprzednicy powiedzielibyśmy "aż konie się wspięły". Przemawia dziad do obrazu...a te działa ani oczkiem na nich nie rzucą. Ugruntowane na żelbetonowych podstawach, wyciągnęły potwornie długie lufy w stronę Tobruku, lufy tak grube, że człowiekby w nie wlazł. Tedy, jak żaby, które z początku nie śmiały patrzeć na rzucony w błoto pień, a potem nań wlazły i wesoło kumkały - podjechali do tych kolosów i cieszyli się, że oto siedzą na opuszczonych ciężkich oblężniczych działach, któremi przez długie tygodnie nękano odległy o 35 km port w Tobruku i cały Tobruk, których pociski zrzucały ludzi z łóżek, przenosiły z namiotu na plac, a czasem i na cmentarz. Gdzieś tam z pustyni idą pewnie wielkie siły angielskie, jeśli tak nagle zwiali.

Już widać Akromę. Szofer daje pełny gaz - że to nie tak łatwo trafią. Siedem par młodych oczu patrzy drapieżnie na wszystkie strony. Nic! I tak, pełnym gazem wpadają w Akromę.

"Cisza i spokój śmierci" - jak pisał o biegunie Tetmajer. Naokoło pusto, piaski jak śniegi, a tu - jakby wymarłe obozowisko Amundsena.

Dowódca rozesłał trzy patroliki po dwóch ludzi, a sam dumnie w wozie tkwi. Widzi jakiś skład z powiewającą chorągwią z hakenkreuzem. Dalej, przez wylot uliczki - krzyże niemieckiego cmentarza.

Patroliki meldują, że po pustych domach stoją zasłane łóżka i leżą popakowane plecaki. Okrutnie ich ciekawi, ale się zbiegli, bo za miasteczkiem "coś tam warczy i miele, pewno mąki da wiele."

Istotnie - o półtora kilometra pustynią ciągnie kolumna pancerna rozrzucona szeroko, jak okiem sięgnąć. Pod naszym carrierkiem łydki się trzęsą, ale jak wywiad, to wywiad. Porucznik wyciąga rakiety i daje rozpoznawczy sygnał biało-zielony. To znaczy:"swoi". Z kolumny strzela biało-zielona odpowiedź. Niebawem przejeżdża pierwszy wóz, idący w szpicy, potem trzy za nim, o którychby Podolak powiedział "zaprzężone w poręcz i i dobrane maścią", potem pojedyńczy i znów drugi pojedyńczy, a potem już nieskończona masa wozów idących pustynią w szachownicę.

Z tego drugiego pojedyńczego wozu wyłazi dowódca całości - siwy generał angielski. Podporucznika rozsadza, że to on przed tą całą wspaniałością pancerną macał te wypchane plecaki. Prostuje się jak struna, proporczyki kawaleryjskie polskie jaskrawieją na "battledressie" i melduje /cholera!trzeba się było więcej przykładać do angielszczyzny!/:

-Polish cavalry patrol, sir...

Stary nie zdradza zazdrości. Jak nie zdradzał zazdrości Marszałek Piłsudski, kiedy mu gen. Iwaszkiewicz opowiadał, że oficerowie ofiarowali mu piękną szablę zdobytą na Bolszewikach. Marszałek był chory na grypę i słuchał z roztargnieniem. Generał Iwaszkiewicz, dobroduszny olbrzym, syn powstańca, urodzony i wychowany na Syberii, łypnął raz okiem, łypnął drugi i ocenił, że Marszałkowi widać bardzo zazdrość. Tedy nagle przerywa raport, pochyla się i pyta:"A może Marszałku ta szabla?"

W danym wypadku stary generał zapytał:"A może podporuczniku ta czekolada?" I na jego skinienie żołnierze przynieśli dla swoich polskich kolegów skrzynkę z czekoladą. Było przytem poklepywań się ile trzeba.

Aż tu już nasz kawaleryjski pułk dociąga.

-Panie majorze, ale to my zajęliśmy pierwsi!-melduje podporucznik starając się nie zionąć czekoladą.

Jeszcze ich posłali na patrol w pustynię. Jeszcze przywieźli z jakiegoś opuszczonego składu w pustyni skrzynię okularów antysłonecznych na cały szwadron. Po paru dniach - zrobili w Gazali linię obronną. Ale o tem potem - kiedy napiszemy o "Somosierze piechoty".

Melchior Wańkowicz

O panience z Radomska i o Stefanii Zbrzyskiej..

Jeden z moich przyjaciół opowiadał mi rozbawiony i wzruszony przygodę, która mu się przydarzyła niedawno i,której poznanie, myślę, wszystkim nam się należy. Przyjaciel mój mieszka na wsi i o parę kroków od skromnego domku, który zajmuje, króluje w świetnej willi, jeden z największych muzyków naszych czasów, jedna z najbardziej uwielbianych i znanych wielkich osób świata, bożyszcze Ameryki. Otóż, jak się okazuje, owa świetna osoba ma w swym licznym dworze również służącą Polkę z Radomska i panienka ta już oczywiście zewnętrznie zamerykanizowana, elegancka, swobodna, odwiedza jako rodaczka dom mego przyjaciela. W czasie jednej z takich wizyt rozmowa zeszła na pracę jaką panienka z Radomska wykonuje, na jej warunki i oczywiście na samego "bosa". I oto czego się mój przyjaciel dowiedział o owym wspaniałym muzyku, a raczej o tem, co o nim myśli panienka z Radomska, dopuszczona do codziennego z nim obcowania, co jest niedościgłym celem marzeń wszystkich najbardziej wyrafinowanych snobinet Europy i Ameryki. "Nie mogę powiedzieć"-w te słowa mniejwięcej mówiła nasza rodaczka - "mój pan - grzeczny pan, porządny, od rana jak tylko wstaje zaraz do swojej roboty się bierze. Ale co to proszę pana warte te tutejsze muzyki? Niechby mój pan pojechał do Ra - domska, posłuchał wojskowej orkiestry, jak gra na rynku - toby dopiero zobaczył co jest prawdziwa muzyka!" Przypuszczam, że nikt z Polaków, nawet wielkich znawców muzyki nie zgorszy się tą niezbyt fachową opinią polskiej dziewczyny i jej nieznajomością tego, co chwalić wypada. Co do mnie, to widziałem nietylko w Warszawie ale i w Paryżu różnych możnych tego świata, głuchych jak pień i którzy naprawdę, jak to wyśmiewał stary dowcip, nie byli w stanie odróżnić Bacha od Offenbacha a Szopena od Schopenhauera, a którzy mieliby sobie jednak za hańbę opuścić wielki koncert symfoniczny, którzy uważaliby swoją nieobecność na recitalu Horowitza czy Menuhina za postawienie się poza nawiasem towarzystwa, widziałem różnych wielkich panów, którzy w gruncie rzeczy nie byli w stanie zdać sobie sprawy kto lepiej dyryguje: Toscanini czy Sielski z naszej strażackiej orkiestry i którzy z przymkniętemi, rzekomo z wyższej emocji oczami, nie mogąc zasnąć tylko dlatego, że im orkiestra przeszkadzała, trwali na jakże uciążliwych dla nich posterunkach i rozpływali się potem w nieopisanych banialukach, mających wyrażać ich zachwyt i znawstwo. Rozumiem, że ten snobizm ma więcej dobrych niż złych stron i że gdyby nie moda, która co pewien czas bierze pod swe skrzydła wielkich artystów niejeden z nich, który dziś kaprysi królom, jeździ własnym samolotem i wypowiada się definitywnie o sytuacji wojennej, o papierosach "Chesterfield" lub o napoju zwanym "Pepsi-Cola", musiałby uganiać się za lekcjami lub grać w prowincjonalnej orkiestrze. Ale ma rację nasza przyjaciółka Zosia Kochańska "Panienka z Radomska wie co kocha i kocha wiernie i naprawdę". Gdyby każdy czuł tak jak ona, napewno świat łatwiej obroniłby swe wyższe dobra i wielcy muzycy, dziś tłoczący się w Ameryce nie musieliby tęsknić do swych krajów.

Tak! Trzeba umieć kochać swoją wojskową czy strażacką orkiestrę, swoje proste pieśni, bo w nich taksamo nietylko w miłości do najwyższych dzieł narodowego geniuszu, w podziwie dla najwyższych uniesień narodowego ducha wyraża się owo, jak mówi Paweł Valery "uczucie niepojęte, napozór nielogiczne, które nas wyprowadza poza ciasnotę nas samych: miłość ojczyzny". Cóżby to była za sztuka kochać Polskę dlatego tylko, że wydała Mickiewicza i Szopena, albo pod warunkiem że wszyscy profesorowie w Polsce będą rozumni, wszyscy urzędnicy uprzejmi i odpowiedzialni, że oficerowie nie będą pili wódki, że ceny w Zakopanem będą umiarkowane, a

droga z Warszawy do Wilanowa będzie zawsze w najlepszym stanie".Czemże różniłby się wtedy patriotyzm od obiektywnego zachwytu, jaki każdy muzykalny cudzoziemiec ma dla geniusza Szopena, każdy człowiek świadomy - dla odkryć pani Curie, każdy człowiek sprawiedliwy dla świetności naszej armji! "Przyjaciel jest to człowiek, który cię nie opuszcza wtedy, kiedy nie masz racji" powiedział mi ktoś bardzo mądry.

I napewno tak samo jak z przyjaźnią, jak z każdem prawdziwem uczuciem jest też i z miłością ojczyzny. Nie kocha Polski ten kto ją kocha tylko za to co w niej jest lepsze, piękniejsze, wyższe niż gdzieindziej. Trzeba ją kochać pomimo jej błędów, wad, upadków, trzeba pragnąć aby była najlepsza, pracować aby taką się stała, cierpieć że taką nie jest - ale kochać ją taką jaką jest, dlatego że to jest Polska, nasza ojczyzna i że my jesteśmy Polakami, chcemy nimi być i nie możemy być niczem innem.

Kiedy ubogi lud warszawski: stróże, których życie płynęło w mroku i wilgoci suteryn, rachityczni i głodni gazeciarze, beznadziejnie bezrobotni z "Cyrku" - poszli wszyscy na wystawione przeciw Niemcom barykady i bronili swej stolicy i umierali za nią jak żaden z francuzów bogatych i szczęśliwych nie potrafił umrzeć za Paryż, kiedy cała nędza warszawska ze śmiechem i śpiewem szła na śmierć w obronie Warszawy - znaleźli się Polacy tak prostych praw nieświadomi, że wydawało im się to czemś nadzwyczajnem, niepojętem i pytali się głośno ze zdumieniem: "Czegóż bronił ten lud ubogi i skrzywdzony? Jak to być mogło, że darował on Polsce swoją krzywdę i swoją nędzę."

Otóż wbrew woli temu co się owym krótkowidzącym i niczego co prawdziwe niepojmującym idealistom wydaje lud polski ubogi i głodny ma duszę pańską i, niby nic nie mając, czuje się posiadaczem i panem polskiej ziemi. Jedząc suchy kawałek chleba czuje on, że należą do niego pałace i kościoły Warszawy, że jego są wszystkie ogrody, szerokie aleje i piękne parki i nietylko podrzędne knajpy ale i te wspaniałe kawiarnie i bary, do których nigdy wejść nie może, że wojsko polskie idące ze śpiewem tak drogich mu pieśni przez ulice Warszawy, Krakowa, Lwowa czy Wilna jest to jego wojsko i nietylko zeszytowe, brukowe piosenki, które może nabyć za parę groszy ale i te trudne, drogie książki, które czytają ludzie bogaci, pisane w tym samym, którym on mówi języku, tak samo należą do niego, są jego prawem i własnością.

Dlatego porusza nas do głębi, ale nie dziwi bynajmniej wiadomość którą ogłoszono niedawno wśród innych równie a niestety przeważnie bardziej ponurych, świadczących że cały naród polski na każdym kroku stawia nieustępliwy opór najeźdźcy.

"Stefania Zbrzyska, młoda służąca z Łodzi, skazana na 4 lata obozu karnego za słuchanie radia polskiego z Londynu, śpiew polskich pieśni patriotycznych i krytykę władz niemieckich."

Stefania Zbrzyska tak samo pewno jak nasza miła rodaczka z Radomska słuchała nieraz z zachwytem jak przechodzące przez jej miasto wojsko śpiewało patriotyczne śpiewki i śpiewki te wydały się jej tak piękne i takie w ich słowach znalazła podobieństwo do tego, co sama czuła, że najpewniej jak to zawsze nasze służące czyniły po skończonej pracy, śpiewała je wychylona z okna kuchni, nie wiele myśląc o tem, że taki śpiew uchodzi w oczach Niemców za zbrodnię i nieraz już karany był owym straszliwym obozem, z którego nikt nie wyszedł bez śladów pobytu tam, nigdy nie dających się zatrzeć.

Jak najbardziej nieulękli bojownicy podziemni - Stefania Zbrzyska, gwiżdżąc dosłownie na Gestapo, słuchała polskich nadań radiowych z Londynu, mówiła co myśli o Niemcach i śpiewała sobie pieśni polskie; chciałoby się prawie wiedzieć jakie, aby jeszcze bardziej kochać tę "Warszawiankę" tego "Rozmaryna" albo owe "Rozkwitają pęki białych róż" czy

"Wojenko, wojenko" które zawsze tak wzruszały nasze służące.

Czy wiedziała kiedykolwiek, że los jej porównany z losem jej koleżanek np. w Stanach Zjednoczonych był ciężkim upośledzeniem, czy powiedział jej ktoś, że tak jak one żyją, nie żyje niejedna "pani" w Polsce, czy nigdy nie wydało jej się ciężką niesprawiedliwością, że kiedy ona haruje cały dzień tylu ludzi, którzy nic nie robią, bawi się i korzysta z tylu niedostępnych dla niej a pięknych rozrywek.

Jestem pewny, że jeśli nawet panna Stefcia wiedziała o tem wszystkiem - nie mogło to zmienić jej stosunku do Polski i dlatego że musiała wstawać o szóstej rano i "robić" po kilkadziesiąt pięter na dzień nie odeszłaby jej nigdy ochota do śpiewania "Rozmaryna" ani ciekawość do słuchania radia z Londynu, dlatego że godziła się do trojga osób a co drugi dzień państwo jej mieli gości na kolację.

Panna Stefcia i tysiące jej podobnych o których losie tragicznym codziennie dochodzą nas wieści, robotnicy skazani na śmierć za tajemne dostarczanie rodakom żywności, gazeciarze, roznoszący prasę podziemną, stare wieśniaczki, usiłujące dzielić się kawałkiem chleba z nieszczęsnym jeńcem wojennym, dumni parobcy, odpowiadając policzkiem na doznaną obelgę - wszyscy oni dowiedli że Polska, jej ziemia, jej przeszłość, jej wspaniała tradycja, jej duch bohaterski są już własnością całego narodu.

Nikt z nas nie wątpi ani na chwilę, że tak jak w naszym męczeńskim kraju rozumna a zupełna równość stała się już rzeczywistością, przyszła Polska nie powróci do zaniedbań przeszłości, że pomyśli przedewszystkiem o najbiedniejszych, o skrzywdzonych, że dopełni święcie w swych prawach i w życiu tak wspaniale zapoczątkowanego w nieszczęściu dzieła. Ale zanim to się stanie - już dziś możemy polską demokrację przeciwstawić najbardziej wolnym, najbardziej dumnym ze swych swobód krajom. Możemy poszczycić się tem, że polska służąca, polski parobek, polski bezrobotny sami nietylko porównali się z resztą narodu ale sięgnęli po najwyższy przywilej wolnego człowieka, który jedynie stanowi o prawdziwem szlachectwie, do którego jedynie przystaje słowo "pańskość": po prawo bohaterstwa i ofiary bez rozgłosu i nagrody.

<u>Jan Lechoń</u>

<u>W i e l k i e   d n i   "R.A.F."</u>

"Wdzięczność każdej rodziny na tej wyspie, całego naszego imperium i doprawdy całego świata, wyjąwszy siedziby winowajców, biegnie ku lotnikom brytyjskim, którzy nie bacząc na przewagę nieprzyjaciela, niezmordowani stałą walką i śmiertelnem niebezpieczeństwem, swojem męstwem i poświęceniem przechylają szalę wojny światowej. Nigdy przedtem w czasie zmagań ludzkich, tak wielu nie zawdzięczało wszystkiego tak nielicznym".

Tymi słowami Winstona Churchilla rozpoczyna się broszura "Bitwa nad wyspami brytyjskimi" wydana po polsku przez londyńską firmę M.I.Kolin; treścią broszury, ilustrowanej bogato zdjęciami lotniczemi, jest sprawozdanie Ministerstwa Lotnictwa Wielkiej Brytanii z historycznych dni od 8 sierpnia do 30 września 1940 r. a więc z okresu heroicznej obrony wysp przed skoncentrowanym atakiem Luftwaffe, preludium głównej i nieudanej inwazji na Anglię.

"Bitwę nad wyspami brytyjskimi" - mimo jej ujęcia ściśle informacyjnego - czyta się jednym tchem jak powieść dobrze nam znaną, ale

której wartość staje się widoczna dopiero po kilkakrotnem jej przepracowaniu zarówno przez autora jak i czytelników. Dziś, po dwudziestu miesiącach, które rozszerzyły teatr wojny z kanału La Manche na Pearl Harbor i Singapore i zapaliły pochodnie wojny na wszystkich pięciu czę - ściach świata, bitwa nad Londynem, zda się beznadziejna i tragiczna dysproporcją sił - staje się symbolem pierwszego udanego oporu i zapowiedzią zwycięstwa, które ukoronować winno długi jeszcze łańcuch klęsk, charakterystycznych dla narodu wyspiarzy, przegrywającego częściej bitwy niż wojny.

Opis działań obronnych, charakterystyka maszyn w akcji, technika i strategia umiejętnej defensywy, łańcuch organizacyjny o.p.l., w którym każdy mieszkaniec wyspy miał swój ściśle określony program prac, bohaterstwo wirtuozów Spitfire'a i Hurricane'a, idealna koordynacja służby przygotowawczej i kontrolnej z myśliwcem nad chmurami - to nowoczesna epopea nietylko czystego, absolutnego heroizmu ale i rozumu, na który składa się zarówno umiejętność strategii powietrznej jak i dar improwizacji, który decydująco przechylił szalę na korzyść lotników brytyjskich i alianckich. W najgorętszych dniach wrześniowych, gdy Goering wysyłał w bój 500-600 maszyn, stosunek strat wynosił 7:1; nawet gdyby przyjąć zasadę większych strat atakującego dużą masą - stosunek ten mówi sam za siebie. W wyniku spotkania, trwającego bez przerwy 12 tygodni zniszczono 2375 samolotów niemieckich, przyczem cyfra ta nie obejmuje maszyn ciężko uszkodzonych i tych, co do których dalszych losów nie miano całkowitej pewności.

Broszura daje przegląd historyczny czterech faz walki: początek ofensywy powietrznej, atakowanie lotnisk w głębi kraju, bitwę o Londyn i odwrót Luftwaffe, która całkowicie wróciła do nalotów nocnych; informacje ściśle fachowe uzupełnia fragmentami relacji lotników, barwnym opisem walk, plastycznymi mapami i żywą fotografią. "Bitwę nad wyspami brytyjskimi" trzeba przeczytać, by dojść do źródeł poznania angielskiego zdrowia, któremu historia zawdzięcza cud nad Tamizą i by zaczerpnąć pełną piersią powiew optymizmu, tak nam dziś potrzebnego.

Mam tylko jedno zastrzeżenie: na 34-ch stronach książeczki niema ani jednej wzmianki o polskich lotnikach. Wykluczam, by brytyjskie Ministerstwo Lotnictwa w swojem sprawozdaniu za tak długi i zasadniczy okres walk R.A.F. nie poświęciło ani jednego wiersza kilku tysiącom Polaków, którzy wsławili się na angielskim niebie bojowym duchem i wielu drewnianymi krzyżami po obu stronach kanału zadokumentowali swą obecność Dlaczego więc firma M.I.Kolin Publishers w Londynie uważała za stosowne usunąć te ustępy z książki wydanej po polsku - dla Polaków?

Jerzy Tepa